Adres redakcyi i administracyi:
Warszawa—Al. Jerozolimska, 49.
Kraków—Zyblikiewicza, 8.

Romans i Powieść.

W Król. i Ces. 4 r. rocznie
w Galicyi 10 koron.

Eliza Orzeszkowa.

BÓG WIE KTO.

(rok 1863).

...A teraz, opowiem z dziejów wiosny owej historyjkę śmieszną.

Jakto, — dziwisz się, — pośród tragedyi takiej — śmiech? O, moja droga, życie jest zlepem gliny i marmuru, uplotem sznurów pereł i sznurów korali.

Perłowe gamy śmiechu nad koralową strugą krwi, cień nocy na jutrzni porannej, cień grzechu na szacie anioła, na złotogłowiu łzy, — skaczący i ubielony klown w ponurej celi smutku.

Wszystko bywa i bywa razem, w jednym momencie czasu,—w jednem sercu ludzkiem.

Pewien pisarz słynny, ilekroć kreślił słowo: życie, tylekroć obok umieszczał w nawiasie inne: galimatias.

Galimatias taki, że niech już w niem samo tylko oko Boże rozróżnia glinę od marmuru, rdzę, która plami płatek białej róży, od spalonego w żarach słonecznych jej serca, śmiechem dzwoniące perły — od sznurów korali, ciekących kroplami krwi...

I to zważ jeszcze, że im serce głębsze, im klawiatura jego szersza i cieńsze, zwinniejsze palce, które klawiszami poruszają, tem częstszemi być w niem muszą spotkania chmur z błękitem, wybielonych klownów z czarnemi smutkami, rdzy z białością, łez ze śmiechem...

*
* *

Oj, byłyśmy, były za śmiech ten nasz długo gderane! Oj, byłyżeśmy za ten nasz figiel gromione!

Bo i trzeba było młodości bujnej, lekkomyślnej, rozbawionej, rozpieszczonej, aby figla podobnego spłatać; bo i trzeba było szczęścia dużego, aby zań srogiej pokuty nie ponieść...

Dziewięć nas wszystkich było i miałby widok ciekawy, a śmiem powiedzieć - i ładny, ktoby nas dnia owego, w tym pokoju i naokoło stołu tego widział.

W początku marca powiedziano nam: robić szarpie i bandaże, szyć koszule jedwabne i konfederatki; a tu marzec końca swego dobiega—i jeszcze nie wszystko gotowe.

Wieleśmy już zrobiły. Żadna z nas już ani jednej szalki albo szmatki jedwabnej nie posiadała, bo wszystkie poszły na te koszule, co to się ich brud i robactwo nie imają. Skrzynki też sporej wielkości—puchami szarpi, śniegami bielizny różnej napełnione. Ale konfederatki.. Zaledwie przed paru dniami barankowe oszycie do nich przywieziono.

Nie nasza wina! Miasteczko dalekie—i nikt w niem dotąd o takich ilościach futerek barankowych ani słyszał. Z większego i jeszcze dalszego miasta sprowadzane spóźniły się, lecz gdy tylko przybyły, wnet we wszystkie strony rozleciały się po sąsiedztwie wici, na pilną, nagłą, wspólną robotę zwołujące.

Przyjeżdżajcie! przyjeżdżajcie!

Stefuniu, Oktuniu, Klemuniu, Maryniu, Wincusiu, Tosiu, przyjeżdżajcie! przyjeżdżajcie i zabierajcie się do szycia!

A może i pani hrabina przyjechać i szyć, szyć, szyć z nami zechce?

Naturalnie!—odpowiada—z chęcią wielką, z radością!

I śliczną Inkę, pani Teresy ubogiej, ale tak zacnej córkę, zaprosić trzeba? A jakże! naturalnie! czemużby nie?

Do okrągłej dziesiątki jednej zabrakło, ale ośm przyjechało, a że do mnie przyjechały, więc byłam dziewiątą.

Przyjechały do mnie, bo ja wówczas — oho! — miałam skarb! Skarb ten miałam różany i złoty, który nazywa się: miłość ludzka.

Nie wiem, za co. Może za młodość, może za wielką żywość, może za to, że serce nosiłam na dłoni, takie gorące, że strumienie cieplika dokoła rozlewało—i od tęcz, które w niem grały roziskrzone.

A może to i nie był skarb rzeczywisty, ale tylko w jego rzeczywistość wiara. Już teraz i nie zdołam w tej mojej pierwszej, bujnej młodości rozróżnić, co było prawdą, a co tylko wiarą, jeszcze przez żadne zmienne albo zimne usta nie zdmuchniętą.

Dość, że wówczas, kiedy zaśmiałam się, wszyscy się śmieli, kiedy zapłakałam, wszyscy przybiegali pytać: czego? czego? Kiedy oddalałam się, wszyscy wołali: nie odchodź, a kiedy zawołałam: przybywajcie!—wszyscy przylatywali.

Przez całe przedpołudnie—powóz za powozem, powozik za powozikiem—przed ganek domu zajeżdżają.

Oktunia, zgrabna, jak ulana, w amazonce i kapelusiku z piórkiem, jak z angielskiego sztychu zdjęta, konno przyjechała.

Pani hrabina, piękna, silna brunetka, jednę historyę tragiczną za sobą, a drugą przed sobą mająca, dziś wyskoczyła z karety śmiejąc się i czarne błyski dżetów, które suknię jej okrywały, na wszystkie strony rozsiewając.

Inkę matka przysłała wózkiem jednokonnym, przez chłopa w baraniej czapie powożonym.

Niewiele przed południem wszystkie byłyśmy już zgromadzone w rożowym pokoju.

Salonik nie duży, do większego przylegający i taki różowy, jak młodość moja. Na różowość młodości mojej poczynały wypływać, nieśmiało jeszcze pełzające lub szybko przelatujące chmurki, ale w pokoju firanki u drzwi i okien, obicie na sprzętach, arabeski na ścianach—różowe. Tylko przez dwa okna, z za festonów firanek, szare niebo marcowe i szare mgiełka marcowego deszczyku zaglądały, sprzeczając się z kwiatami. Bo tu i owdzie, na gzemsie kominka, na etażerkach, stołach, pomiędzy białemi kolumienkami, zdobiącemi biurko staroświeckie, w wazonach i wazonikach—rośliny kwitnące. Oprócz kwiatów, na gzemsie kominka jest jeszcze kot czarny, który, u ram wielkiego, męzkiego portretu w kłąb zwinięty, śpi, aż chrapie. Przez okna, w szarej mgiełce widać drzewa, drzewa, drzewa, a ponieważ bezlistne są jeszcze, więc śród nich ciemne od wilgoci szlaki alei, alei, alei...

Ciasno dziś w różowym pokoju. Przeciwko zwyczajowi, pośrodku stoi długi stół, a dokoła stołu, na dziewięciu różowych krzesłach siedzimy wszystkie dziewięć, różowe od powitań serdecznych i serdeczniejszego jeszcze nad nie zapału.

Na wysokich poręczach krzeseł, już i wówczas staroświeckich, na kanapie rozłożystej, na bocznych stolikach, etażerkach, biurku rozwieszone, rozłożone materyały wełniane trzech kolorów. Białość, amarantowość i szafirowość.

Pokój wygląda, jak wielkich rozmiarów sztandar narodowy. Pstro i pełno. Tak pełno, że ilekroć która z nas wstanie i po pokoju się obróci, tylekroć coś białego, amarantowego, lub szafirowego zkądciś ściągnie, za sobą pociągnie, a inne przestrzegają: Ostrożnie! Kaszmir splamić się może! Bo z kaszmiru tych trzech kolorów szyją się konfederatki. Jak w nich partya ładnie wyglądać będzie!

— Jak łan kwiatów! — poetyzować zaczynam.

— Jak maki, z bławatkami zmięszane! — rumieniąc się i zcicha poetyzowanie kontynuuje Stefunia.

Mężatką już jest od lat kilku i panią dużego, bogatego domu, a nic jeszcze nie zdołało, choćby o pół tonu, podnieść skali jej nieśmiałego głosu, ani od częstych rumieńców ochronić twarzy — białej wśród bardzo czarnych włosów.

— Nie jak maki, ani żadne inne kwiaty, ale — jak wielki trójkolorowy sztandar wyglądać będą!

Słowa te, z szerokim gestem ramienia wymówiła najwyższa z pomiędzy nas wzrostem i oczy najsmutniejsze, a czoło najbledsze mająca, Klemunia Koniecka. Najpoważniejszą też z pomiędzy nas była może dla tego, że najstarszą, bo miała już lat aż 25. Z drugiego końca — cyfra wieków naszych zamykała się ośmnastu latami ślicznej Inki.

W pokoju pstro, ale na nas pstrocizny żadnej niema, o, nie! Żałoba narodowa. Suknie czarne, ozdoby z dżetu lub polerowanej i kunsztownie wyrabianej stali. Włosów tylko cała gama: od kruczoczarnych, przez różne odcienia złota, do jasnych, jak len.

Zrazu duży był gwarek głosów. Oglądanie materyi, chwalenie, ganienie, narady, zwrócone do mnie zapytania.

— Ile ich uszyć mamy?

Krótko, lecz z dumą odpowiadam.

— Sto.

Aż krzyknęły.

— Tak wiele!

— Dalko więcej trzeba. Części tylko podjęłam się za siebie i za was.

— A no, dobrze! Zrobi się! Szkoda nawet, że nie więcej. Zawiniemy się—i dzień, dwa, trzy...

— Tydzień, dwa! — reflektuje Klemunia.

— Niech sobie i tydzień albo dwa! Kamieniem zasiądziemy i będziemy szyć, szyć, szyć...

Zaczynajmy tedy! Dobrze, ale, nim szycie rozpocząć, skroić wprzód trzeba. Według formy—tej oto! Która najlepiej kroić umie? Wincusia umie! Oto nożyce, prawdziwie krawieckie, doskonałe!

Rosła, zgrabna, hoża, stalowemi szpilkami u szyi, pasa i włosów błyskająca Wincusia, w odważnej i raźnej postawie u stołu staje, materye przed sobą rozkłada i — czach, czach, czach!

Okazuje się, że nieosobliwie umie. Już parę kawałków kaszmiru zepsuła, lecz to jeszcze małabeda.

— Dużo go jest, więc choćbym go trochę i napsuła... Ale baranków, wiecie co, że baranków zdaje się... mało...

Westchnienia trwożne.

— Tak, tak, bardzo ich jakoś mało! Broń Boże, nie wystarczy.

Wincusia tonem żałosnym:

— Boję się! niech kto inny...

Ba! łatwo powiedzieć! ale kto?..

— Może pani hrabina umie?

Wstrząsnęła się przecząco, tak, że aż czarne błyski dżetów dokoła siebie rozsypała.

— Jak żyję, nie kroiłam nic!

— Oktuniu! może ty..

Amazonka, igłą z nicią przez kaszmir przewlekając i głowy jasnozłotej z nad roboty nie podnosząc, głośno na cały pokój, na nutę słynnej wówczas arii: „Rachelo, kiedy Pan, w dobroci niepojęty“, zaśpiewała i zatrelowała.

— Nie u miem — nie u-miem— daj-cieee-mi—ś-ię-ę-ty — poooo kój!

Marylki Jaroszyńskiej zawołać, panna służąca to jest, której trzej bracia do partyi idą. Ufać jej można, jak zresztą całej służbie.

Przywołana wbiegła. Sukienka w żałobne kratki, głowa w loczkach, żywa, fertyczna, śmiała. Dowiedziawszy się, o co chodzi, okiem znawczyni futerka barankowe, siwe i białe, obejrzała, poczem ze wzruszeniem ramion:

— I to ma do stu czapeczek wystarczyć, jeszcze takich kwadratowych! Żarty chyba! Ledwie może do sześćdziesięciu wystarczy.

DCN.

Władysław St. Reymont.

MARZYCIEL.

— Więc jakże to zrobić?

— Pojechać finiculerem na Vomero. Niedaleko stacyi, na samej krawędzi góry stoi klasztor świętego Marcina i przytulona do niego mała terasa kawiarni. Stamtąd roztacza się najpiękniejszy widok na świecie! Zalśni się panu w słońcu cała zatoka aż po horyzont zamknięty wyspami. Neapol będzie pan miał pod nogami. Wezuwiusz na przeciw. A od Capri aż po Miceny olbrzymi, granatowy zwał gór poszarpanych zamyka przecudny kraj winnic, pinii, oliwek, zatopionych w słońcu i lazurze!

— Dziękuję bardzo. Nie wiedziałem, że pan podróżował,—rzekł ktoś z podziwem i jakieś ręce wzięły bilet i zgarniały resztę.

Józio uśmiechnął się melancholijnie, zapisał kredą na czarnym stole numer sprzedanego biletu, podniósł głowę i szepnął po francusku.

— Nie zawsze sprzedawałem bilety!

Ktoś nachylił się gwałtownie, jakieś oczy błysnęły w okienku, i wyciągnęła się biała ciepła ręka.

— Jakże mi pana żal!

Józio uścisnął dłoń i wytrzymał długą pauzę, zapatrzywszy się gdzieś daleko, jakby zbłąkany w zachwyceniu na lazurach zatoki, o której wspominał; wzdychał żałośnie, przegarniając jasne, kędzierzawe włosy.

Za okienkiem podniosły się gniewne głosy; przez zakurzone a miejscami pozaklejane szyby błyskały jakieś niespokojne oczy, twarze zgorączkowane i nerwowe ruchy, cały tłum parł się do kasy, stukając coraz niecierpliwiej. Józio jakby się wreszcie przebudził, westchnął żałośnie i z melancholijnym uśmiechem wziął się do roboty; słuchał żądań, sięgał po bilety do wąskich przegródek, stęplował je, rzucał przed wyciągnięte dłonie, brał pieniądze, wydawał resztę, a wszystko robił szybko, spokojnie i z taką oszczędnością ruchów, jakby doskonale funkcyonujący automat.

A co chwila nowy głos rzucał mu jakąś nazwę stacyi, co chwila nowe ręce wyciągały się z żądaniem, ale Józio tak je znał we wszystkich odmianach, że niektórym już zgóry wiedział, jaką dać klasę i dokąd; do wielu rąk uśmiechał się przyjaźnie, niektóre ścisnął z uniżonością, od wielu trzymał się jakby zdaleka i z godnością, wielu udawał, że niespostrzega, zaś od pewnych cofał się z obrzydzeniem, ale większość traktował obojętnie, jak szary, nic nieznaczący tłum, a tylko niekiedy, bardzo zresztą rzadko, gdy mignęły w okienku jakieś białe, pachnące rączki, przywierał do nich całującemi spojrzeniami.

I całą godzinę przez otwarte okienko wciąż się wyciągały ręce przeróżne, migając mu nieustannie przed oczami; były piękne i brzydkie, stare i młode, nieszczęsne i tryumfujące, ręce szpony i ręce-kwiaty, ręce do pieszczot i pocałunków i ręce do kajdan...

Ostry świst rozdarł powietrze, zadygotały ściany, i pociąg już dochodził, gdy skończył się korowód rąk, a Józio wyjrzał na stacyę.

Śnieg padał wielkiemi płatami, gęsty i mokry, peron aż się mrowił rozszwargotanym tłumem, naczelnik w czerwonej czapce i w białych rękawiczkach spacerował uroczyście, żandarmi tkwili nieruchomo, wyprostowani, niby kolumny, podpierające ten dzień, posiniały i drżący od zimna.

Pociąg przystanął, zrobił się rwetes, trzaskały drzwi, ludzie rzucili się do wagonów, konduktorzy biegali, chłopak z gazetami wydzierał się w niebogłosy, a garson we fraku, z serwetką białą na gołej głowie, leciał wzdłuż wagonów z tacą, pełną szklanek, i wołał monotonnie:

— Herbata! Kawa i herbata! Herbata!

Józio przyglądał się wszystkiemu spokojnie, ale naraz, jakby ugryziony w samo serce, szepnął ze złością.

— I po co się to psiakrew włóczy po świecie!

Zazdrość nim szarpnęła, odszedł od okna i zajął się liczeniem kasy, a kiedy się znowu odwrócił, pociągu już nie było, tylko śnieg padał coraz gęściejszy, już się bieliły dachy magazynow i ziemia między lśniącemi, czarnemi niciami szyn. Nudnie było na stacyi, druty telegraficzne jęczały rozpaczliwie, rezerwowa maszyna latała, jak oszalała, z rozdzierającym, przenikliwym świstem, gdzieś z pod magazynów rozlegał się głuchy i brzękliwy dźwięk popychanych wagonów, na piętrze u naczelnika zagadał fortepian i popłynęły gamy, młócone już bez końca i bez miłosierdzia.

Józio zamknął kasę i właśnie rozmyślał, co zrobić ze sobą do pośpiesznego, który przychodził dopiero za godzinę, gdy woźny przyniósł mu telegraficzną notę.

— „Przyjadę pośpiesznym, czekaj na stacyi“, przeczytał, zmiął i rzucił na ziemię.

— Zwali mi się na łeb, niewiadomo—dla czego! Nie prosiłem jej przecież!

Myślał gniewnie i poszedł do bufetu, ale i tam było pusto i nudnie, za szafami grało w zechcyka paru kolejarzy, gęsto przytem popijając; popatrzył przez chwilę na grę i stanął bezradnie przed bufetem, przyglądając się błyszczącym szklanym kloszom i grupie butelek, ustawionych na środku dokoła sztucznej palmy.

Bufetowa, siedząca z boku przy małym stoliku, spytała żywo:

— Co panu nalać? Może piołun z kroplami? W sam raz na dzisiejszą pogodę.

— To już wolę czarną kawę i pani towarzystwo.

Usiadł po drugiej stronie stolika i zajrzał w robótkę, jaką miała w ręku.

— Naturatnie patarafka—i dla księdza wikarego!

— Dla kogo innego... ale niech pan zobaczy, jaka śliczna...

— Rzeczywiście zachwycająca, trawka błękitna, gniazdko różowe, a ptaszki cynamonowe! Cudne, aż mi się chce kichać. DCN.

Stefan Krzywoszewski.

PRZYWÓDCA.

Dramat w 3-ch aktach.

OSOBY:

Kazimierz Łomęcki
Władysław Tulewski
Marya Tulewska, jego żona
Ludka Tulewska, jego kuzynka
Brukwa
Borski
Garuniewicz } młodzi urzędnicy
Szulc } w biurach fabryki
Czelański
Robotnik
Delegaci robotników
Tłum robotniczy.

AKT I.

Scena I.

(*Biuro fabryczne, przylegające do sali, w której furkoczą maszyny. Gdy drzwi do tej sali otwierają się, wnet słychać wyraźny łoskot pracujących warsztatów. Z boku drzwi na podwórze, z drugiej strony okna. Brukwa, typowy urzędnik starej daty, przedwcześnie postarzały, w wytartem ubraniu na łokciach, a wypchanem na kolanach, siedzi, jako naczelnik podręcznego biura fabrycznego, oddzielnie. Dalej dwa podwójne biurka, przy których siedzą Borski i Garuniewicz, Szulc i Czelański. Od strony okna przechadza się w milczeniu Władysław i półgłosem przepowiada sobie mowę, jaką ma wygłosić na wiecu. Borski, widocznie znudzony, spojrzał tęsknie na zegar).*

BRUKWA. Panie Borski, niech się pan nie modli tak często do zegara, wzrokiem wskazówki pan nie posunie.

BORSKI. (*niechętnie*) Żebym mógł, tobym ją z pewnością posunął.

GARUNIEWICZ (*ironicznie*). Pan hrabia nudzi się?... Weselej byłoby flirtować z pannami w arystokratycznym salonie, niż w brudnym kantorze fabrycznym...

BORSKI (*protekcyonalnie*). Panie Garuniewicz, zabraniam panu tytułować mnie hrabią. Wymawiam sobie wszelką ironię z pańskiej strony.

GARUNIEWICZ (*plebejuszowski*). Czemu pan się tak stawia? Żeby gniew nie zaszkodził urodzie! (*śmiechy*).

BRUKWA (*uroczysty*). Czy ja panom wypadkiem tu nie przeszkadzam? (*chwila milczenia, pióra skrzypią; wchodzi robotnik z sali*).

ROBOTNIK (*zbliża się do Brukwy*). Kwit do magazynn.

BRUKWA. Dobrze... (*bierze kwit i sprawdza*). Zaraz...

WŁADYSŁAW (*do robotnika*). Pan Łomęcki na fabryce?

ROBOTNIK. W tokarni (*poufnie*). Już wszyscy wiedzą.

WŁADYSŁAW. Jak tylko maszyny staną... (*wskazuje ręką na drzwi*). W tej sali!...

ROBOTNIK (*wziął kwit od Brukwy*). Tak... (*wychodzi drzwiami na podwórze*).

BRUKWA (*do Władysława*). Będzie znowu wiec?

WŁADYSŁAW. Tak...

GARUNIEWICZ (*ironiczny*). Pan jeden nie wie, co się w fabryce dzieje.

BRUKWA (*uszczypliwy*). Ja wiem przedewszystkiem, panie Garuniewicz, co wiedzieć powinienem. *Moje* książki są zawsze *à jour*. Magazyn jest zawsze w porządku. Ja pilnuję interesu, panie Garuniewicz, nie biorę pensyi darmo, tylko pracuję na nią uczciwie.

SZULC (*od swego biurka*). Co tam mówić o takiej uczciwości! wszyscy aż nadto pracujemy na tych, co nic nie robią, tylko z naszej pracy korzystają.

BORSKI (*wykwintnie ironiczny*). Wylazło szydło z worka... he, he. (*śmieje się*).

SZULC (*gburowato*). Pan tu nosa nie wściubiaj.

BRUKWA (*do Władysława, żaląc się*). Zawsze takie odpowiedzi. Najmniejszego przywiązania do interesu... Najmniejszego. Czy w takich warunkach interes może prosperować? A przecież—któż nas żywi, jeżeli nie fabryka!

WŁADYSŁAW (*ostry*). Fabryka nie żywi, tylko wyzyskuje.

SZULC. Pan jesteś, jak wół, przywiązany do łąki, że go karmi.

BRUKWA (*oburzony*). Jak wół do łąki... proszę! (*nerwowo wraca do pracy*) Święty nie wytrzymałby długo.— Dobrze, dobrze—(*nagle wyładowując swą tajoną złość*). Panie Czelański, dla czego wczorajsze pozycye nie wciągnięte z kwitaryusza? To taki porządek? Ja nie będę odpowiadał za pańskie niechlujstwo! Rozumie pan? Świat się kończy, słowo daję! Ani jedna pozycya nie wciągnięta.

CZELAŃSKI (*leniwie*). Wciągnie się jutro. Nic się przecie nie stanie!

BRUKWA (*oburzony*). Nic się nie stanie! Gdyby stary Sznabe dożył tych czasów! (*do Władysława*). Pan tu jest dopiero rok, pan nie pamięta starego... (*do Czelańskiego, uroczyście*). Pan musisz to jeszcze dziś doprowadzić do porządku. Zaraz, proszę pana. Ja, panie Czelański, nie zniosę w biurze takiego lekceważenia. Jeśli jeszcze raz zajdzie coś podobnego, będę musiał złożyć raport do dyrekcyi.

CZELAŃSKI (*leniwie, słowa Brukwy nie wywarły na nim wrażenia. Z fabryki wsunął się robotnik, który szepce na boku z Władysławem*) Panie Brukwa, ja gwiżdżę na dyrekcyę (*młodzi ludzie śmieją się*).

BRUKWA (*zbity z tropu tą śmiałością*) Będziesz pan gwizdał, jak pana wyleją z fabryki.

SZULC (*porywczo*). Nie obawiaj się pan. Nie wyleją. Minęły te czasy, kiedy można było usuwać pracowników podług kaprysów panów dyrektorów. Pan tylko, panie Brukwa, nie możesz zrozumieć, że zaszła zmiana, że zachodzi jeszcze większa. Niech że pan zrzuci z siebie tę obrożę niewolnika. Czy pan jest przeciw nam?

BRUKWA (*poruszony*). Panie Szulc, ja mam chorą żonę i czworo dzieci, które muszę wychować. Panu łatwo mówić, ale ja mam obowiązki wobec rodziny.

WŁADYSŁAW (*trochę sztuczny*). A obowiązki wobec społeczeństwa, to nic? Tylko—aby żona miała wygody, aby dzieci pięknie się chowały i kształciły. A o nędzy innych ludzi, o troskach i potrzebach proletaryatu, to już nie warto myśleć? Przez pańskie usta przemawia ciasny burżuazyjny egoizm.

BRUKWA. (*onieśmielony*). Gdyby każdy tak myślał i robił...

WŁADYSŁAW. Dużoby przyszło z tego proletaryuszowi, który nie jest w stanie wyżywić do syta swych dzieci, gdy ma robotę, a gdy jej nie ma, to —głód. Prawda! wolno mu przez szyby sklepowe przypatrywać się delikatesom i pięknym strojom, przeznaczonym dla wyzyskiwaczów (*silniej akcentując*). My walczymy o prawo do szczęścia dla każdego, nie tylko dla takich, jak pan, ale dla najnędzniejszego robociarza.

BRUKWA (*pod nosem*). Nauczcie ich przedewszystkiem pracować.

WŁADYSŁAW (*wpada w elokwencyę mówcy wiecowego*). Pracować! pracować na to, żeby uprzywilejowany kapitalista bogacił się jeszcze więcej, aby jeszcze więcej mógł używać zbytku. Taka praca, jak dzisiaj, oparta

na wolnem współzawodnictwie, którem znów kieruje chciwość jak największego zysku, taka praca będzie zawsze krzywdą proletaryusza.

BRUKWA *(zniecierpliwiony)*. E, proszę pana, niech pan to sobie gada na wiecach. Ja ani chcę słuchać, ani mam czas... Wy się doigracie w końcu, zobaczycie. Siejcie wiatr, siejcie, będziecie zbierali burzę.

SZULC. Pan stworzony jest, żeby chodzić w chomoncie.

BORSKI *(który już uprzednio dawał znaki zniecierpliwienia i niezadowolenia)*. Ja się dziwię, panie Brukwa, że pan pozwala zamieniać biuro na miejsce jakiejś agitacyi. Tutaj poprostu wytrzymać już nie można... Słuchać ciągle tych katarynek...

GARUNIEWICZ *(gburnie)*. Niech pan hrabia zamknie pysk, bo zęby mogą wylecieć!

BORSKI *(gwałtownie)*. Pan sobie zanadto nie pozwalaj!

GARUNIEWICZ *(groźniej)*. Powiedziałem — stulić pysk.

BORSKI. Jesteś pan chamem.

GARUNIEWICZ *(zrywa się ze swego stołka)*. Ja ci pokażę, cham— czekaj! *(biegnie z podniesioną pięścią. Władysław i Brukwa zatrzymują go)*.

BRUKWA *(zrozpaczony)*. Panowie, na miłość Boską!.

BORSKI *(wściekły)*. To jest podła buda, nie biuro *(do Brukwy)*. Pan chcesz żeby tu pracować? Bez żadnego wychowania... *(do Garuniewicza)*. Gdybym pana uważał za równego sobie, zdałbyś mi rachunek.

GARUNIEWICZ *(szyderczo)*. Może pojedynek, co? Chcesz pan, na chamskie pięści? *(ściąga mankiety i wysuwa pięści)*. To i owszem...

BORSKI *(porządkuje gorączkowo papiery na biurku)*. Wiadomo dobrze, zkąd to idzie... Wpływy pana Łomęckiego... Wielcy działacze! Jak ich jest kilku na jednego, to gotowi zawsze do awantur. A po tych, co siedzą w więzieniu, noszą żałobę za paznokciami.

WŁADYSŁAW *(groźnie)*. Panie Borski, bez dowcipów! Jeżeli pan nie ma dla Łomęckiego szasunku, to my możemy go w pana wpoić.

BORSKI. Z ludźmi źle wychowanymi najlepiej się nie wdawać *(zamyka z hałasem biurko)*. Żegnam panów *(wychodzi)*.

CZELAŃSKI *(naiwnie)*. A taki urwał sobie pół godziny.

BRUKWA *(płaczliwie)* Proszę panów, co z tego będzie? On *(gest na drzwi, któremi wyszedł Borski)* ma racyę. Tu się robi ordynarna buda. Kłóćcie się panowie, ile chcecie, ale nie tutaj. W biurze musi być porządek, musi być poszanowanie władzy.

SZULC *(posępny)*. Skoro przyjdzie taki porządek i taka władza, które będą zasługiwały na poszanowanie.

BRUKWA. Bez hierarchii będzie zawsze anarchia.

SZULC *(półgłosem)*. Stary mamut *(śmiech)*.

BRUKWA *(zrywa się obrażony)*. Coś pan powiedział? Powtórz pan... *(do Władysława płaczliwie)*. Gdy pan tu przyjdzie, zaraz ci panowie stają się zuchwałymi i kończy się robota.

WŁADYSŁAW. Ja przecież panom nie przeszkadzam.

(Chwila milczenia i pracy, pióra skrzypią).

Scena 2.

(Ciż, Marya i Ludka. Marya, kobieta trzydziestoletnia, niezbyt piękna, ubrana bez pretensyi, trochę z męska. Ludka, dwudziestokilkoletnia piękna panna, w jasnej sukni i dużym kapeluszu z kwiatami, wnosi z sobą wdzięk i powab wiosny).

LUDKA *(spostrzega Władysława i woła radośnie)*. Jest, jest *(biegnie ku niemu)*.

WŁADYSŁAW. Ludka! *(śpieszy ku niej, powitania)*.

MARYA. Nie mogła doczekać się twego powrotu.

WŁADYSŁAW *(trzyma ją za obie ręce)*. Pokaż się, jak wyglądasz? Wspaniale! Pobyt u magnatów służy ci świetnie. Wypiękniałaś.

LUDKA *(wesoło)*. Magnaci chcieli mnie zabrać do morza, lecz ja wyprosiłam sobie urlop na cały czas ich nieobecności... *(Brukwa i inni panowie witają się z Maryą)*.

MARYA *(do Brukwy)*. Kuzynka mojego męża. Nie widzieliśmy jej blizko dwa lata.

BRUKWA. Śliczna panna. Aż się jaśniej zrobiło.

MARYA. Jest nauczycielką na Podlasiu. Lecz arystokratyczni chlebodawcy uznali za stosowne szukać bezpiecznego spokoju zagranicą.

BRUKWA *(poprawia spodnie, wypchane na kolanach, przesuwa dłonie po krawacie, prostuje się)*. Niechże pani mnie przedstawi.

MARYA. Jaki pan śmieszny w roli eleganckiego salonowca. Ludka — pan Brukwa — burżuj, nie tyle syty, ile wstrętny... *(Brukwa kłania się, a gdy Ludka wyciąga doń rękę, niezbyt zgrabnie, ale skwapliwie całuje ją)*.

BRUKWA *(trochę się kryguje)*. Pani Marya zawsze ze mną toczy wojnę. Bóg dałby, żebyśmy innych walk nie znali.

MARYA *(cierpko)*. Nie podzielam pańskich pobożnych życzeń *(idzie do biurka, przy którem siedzą Szulc i Czelański)*.

WŁADYSŁAW *(śledzi ją wzrokiem)*. Jak się czujesz?

MARYA *(przy biurku)*. Zupełnie dobrze. Dlaczego się pytasz?

WŁADYSŁAW *(przy żonie jest zawsze trochę pomieszany)*. Bo dziś rano wydawało mi się... Byłaś mizerna.

MARYA *(gest ręką, że jej nic nie jest)*. E...

BRUKWA *(śmieje się)*. Pan jest tak troskliwy o żonę, jak gdyby to było trzy miesiące po ślubie.

WŁADYSŁAW *(kontent)*. Dziewięć lat, panie Brukwa. Niedługo będziemy obchodzili pierwsze *decenium* — *(do Ludki)*. Więc zostaniesz u nas do jesieni.

LUDKA *(wesoło)*. Jeśli mnie nie wyrzucicie...

BRUKWA. Tylko, że pani natrafiła na niewesołe czasy. Nie zabawi się pani u nas.

LUDKA *(j. w.)* Jestem taka szczęśliwa, że będę znów między swoimi. Choć moi magnaci są bardzo poczciwi, a ich dzieci przywiązały się do mnie, to jednak jestem tam obcą. Gdy widzę, jak oni wszyscy się kochają, wzbiera we mnie taki smutek, tęsknota!... Tragedya każdej nauczycielki. Piąte koło u wozu. To też tak się cieszę, że mogłam tu przyjechać. Zobaczycie, że i wam będzie ze mną dobrze...

BRUKWA. Na pierwszy rzut oka, to pani niepodobna do kuzyna. Ale przypatrzeć się bliżej...

LUDKA. *(śmieje się)*. O, my nic nie jesteśmy podobni do siebie.

BRUKWA *(przygląda się jej seryo)*. Powiedziałbym, że kształt ust i nosa...

WŁADYSŁAW. Nasi ojcowie byli braćmi, a ona jest wykapanym portretem matki.

MARYA *(przybliżając się do nich)*. Więc zaraz, jak maszyny staną.

WŁADYSŁAW. Tak. W tej sali... *(wskazuje na drzwi)*.

MARYA. Czy oprócz pana Kazimierza będzie jeszcze kto mówił?

WŁADYSŁAW *(tonem samozadowolenia)*. Po Łomęckim ja będę mówił... *(lżej)*. Potem zapewne który z robotników... *(Ludka rozmawia z Brukwą)*.

MARYA *(niechętnie)*. Po co tu

zawsze chcesz mówić? Sam wiesz, że nie masz talentu.

WŁADYSŁAW (*słowa Maryi zabolały go, stara się jednak to ukryć*). Moja droga, proszono mnie koniecznie... Czasem nie o to idzie, *jak* się powie, ale *co* się powie.

MARYA (*lekceważąco*). Eh.

WŁADYSŁAW. Niema dwóch zdań... Aha, prawda! panie Garuniewicz, panie Szulc! Na jeden moment.

GARUNIEWICZ } (*zrywając się od biurek*). Słucham... Jestem...
SZULC }

(*obaj zbliżają się do Władysława*).

WŁADYSŁAW (*do Maryi*). Posłuchaj i ty (*zaczyna po cichu im opowiadać*).

BRUKWA (*do Ludki*). Czy pani robi także w polityce?

LUDKA (*śmieje się*). Nie wiem dobrze, co pan chce przez to powiedzieć?

BRUKWA (*wskazuje na grupę szepcących*). Polityka teraz jest tylko jedna.

LUDKA (*wesoło*). Dzieci moich książąt uczę za pieniądze. Chłopów we wsi i ich dzieci uczę — może jeszcze chętniej—za darmo.

BRUKWA (*uradowany*). To rozumiem. To jest pięknie (*poufnie*). Polityka, jak oni rozumieją, to szerzyć nienawiść, uświadamiać w nienawiści, nawoływać do nienawiści..

LUDKA (*śmieje się*). Ja nic nie jestem warta dla takiej polityki. Jeśli nienawidzę, to właśnie samej nienawiści. Nienawiść—to śmierć, a ja kocham życie. Niech pan się ze mnie nie śmieje, ale przecie życie jest piękne.

BRUKWA (*rozochocony.*) Ja miałbym się z pani śmiać? (*całuje ją w rękę*). Aż mi raźniej, gdy słyszę takie słowa.

MARYA (*dosłyszała ostatnie słowa Ludki*). Oczywiście, iż ludzie wygodni wolą okupywać przyjemną teraźniejszość kosztem przyszłości, wolą świadomie łudzić się, byle ich nie wyrywano ze słodkiej drzemki... (*w drzwiach od sali fabrycznej ukazuje się Łomęcki*). O... pan Kazimierz.

DCN.

Robert Hichens.

OGRÓD ALLAHA.

Przekład z angielskiego.

„Nikt, prócz Boga i mnie, nie wie, co w sercu mojem".
Pieśń Sahary.

KSIĘGA I-sza.

Wstęp.

I.

Zmęczenie, spowodowane burzliwą podróżą morską, a może myśl o tem, czy wydąży przed jutrznią na pociąg, jadący do Beni-Mora, nie dały spać Dominice Enfilden. W hotelu nadmorskim w Robertvill panowała głęboka cisza. Oficerowie francuscy, spożywający tutaj, oddawna już udali się do swych baraków. Kawiarnie zamknęły już podwoje dla pijących tu lub grających w domino. Ociężali chłopcy arabscy opuścili już piaszczysty plac Marynarki. W ciasnych dusznych kramikach żydzi obliczali dzienne sprawy, poczem zawijali się w jaskrawe kocze i układali się do snu na swych nizkich tapczanach. Dwóch tylko czy trzech żandarmów czuwało ciągle i niewielu francuzów i hiszpanów w porcie, gdzie, przytwierdzony do przystani, stał parowiec *Jenerał Bertrand,* na którym Domini przyjechała tego wieczora z Marsylii.

W hotelu piękny i gruby kelner, którego los pchnął tu do Północnej Afryki z Pizy, uprzątnąwszy z dwu długich stołów w jadalni, palił ciemne, cienkie cygaro nad numerem *Gazety Algierskiej;* odrzucił precz gazetę, podrapał się w głowę, na której włosy stały jeża, chwilę patrzał tępo i bezmyślnie, jak człowiek, razem zmęczony i przybity, a potem rzucił się na swe wązkie łóżko w dusznym kącie małej izdebki na schodach blizko drzwi wchodowych. Pani właścicielka hotelu odłożyła na bok swą maskę i modliła się do Matki Boskiej. Właściciel, jej mąż, mruczał swe ostatnie przekleństwo w stronę żydów i pił ostatnią szklankę rumu Potem zachrapali, jak zacni ludzie, zbierający swe siły na jutro. Obok w numerze Zuzanna Charpot, panna służąca Dominiki, śniła o ulicy Rivoli.

Ale Domini, z szeroko otwartemi oczyma, patrzała ze swej wielkiej, kwadratowej poduszki na czerwone tafle posadzki swojej sypialni, na której stały pakunki, poznaczone znakami Komory. W pokoju były dwa okna, wychodzące na Plac Marynarki, za którym była stacya. Osłaniały je żaluzye zamknięte z ciemno-zielonego błyszczącego drzewa Jedno z okien było otwarte. Świeca Dominiki u jej łoża paliła się jeszcze ciągle. Noc była ciepła i spokojna, bez wiatru.

Leżąc tak, Domini czuła jeszcze kołysanie morza. Przeprawa była zła. Okręt, naładowany francuskimi rekrutami dla pułków afrykańskich, chwiał się i kołysał przez trzydzieści godzin bez przerwy, i Domini wraz z większością rekrutów była chora. Miała kabinę wewnętrzną, z okienkiem, wychodzącem na dolny pokład, i słyszała wraz z szumem fal i wiatru zmięszane ich jęki i wykrzyki, śmiech szorstki, półtrwożne, półnieufne rozmowy,—leżąc w swym hamaku.

W Marsylii widziała ich, jak wychodzili na brzeg, jeden za drugim, ubogo ubrani najróżnorodniej, każdy patrzący trwożnie dokoła, by zobaczyć, jak inni wyglądali, każdy niosący nędzny żółty lub czarny kuferek albo starannie związany tłomok. Na przystani stał Żuaw w krzyczących czerwonych spodniach i fezie, pośród stosu ciemno bronzowych zwojów sukna. I gdy rekruci przechodzili koło niego nieśmiało, rzucał im ostre słowa, sprawdzał ich biiety, dawał każdemu zwój sukna i wskazywał przejście, które wiodło od portu do okrętu Domini, wsparta o poręcz górnego pokładu, notowała sobie różne wyrazy, z jakiemi rekruci patrzali na Żuawa. Był on dla nich dziwowiskiem, tajemnicą Afryki i nowego życia, do którego lądowali. Stał on tu zuchwale i biernie pośrodku sukiennych zwojów, w czerwonym fezie, nasuniętym w tył na krótkie, czarne włosy, strzyżone *na jeża;* bronzowa twarz jego układała się w grymas chełpliwej pogardy, gdy rzucał swemi dużemi muskularnemi rękoma zwój za zwojem trwożnym młodym wieśniakom, którzy przeciągali przed nim. Wszyscy oni patrzyli na jego nogi w szerokich czerwonych szarawarach: niektórzy — jak dzieci, patrzący na pajaca, który wyskoczył im przed oczyma, inni, jak ciemny i zabobonny lud, który niespodzianie na drodze swej ujrzy coś urocznego. Jeden czy dwóch było skłonnych do śmiechu nerwowego, do śmiechu głupkowatego bez racyi—na widok czegoś nowego. Lecz strach ścinał ochotę. Hamowali się kurczowo i szli niezgrabnie ku przejściu, rozglądając się zabawnie po stronach i przyciskając niezdarnie do piersi tłomoki czerwonemi brudnemi rękoma.

Domini widziała coś żałosnego w oczach tych chłopców, wyrwanych z łona ziemi rodzinnej, wstępujących bezradnie na pomost tego okrętu, który miał ich zawieźć do Afryki. Tłoczyli się wzajemnie. Ubogie ich kuferki i tłomoczki tłukły się o siebie. Niezgrabnemi buciskami następowali sobie na nogi. I wszyscy byli sobie obcy. Każdy miał się na baczności, by od nieznanego sąsiada nie spłynęło dla niego nieszczęście.

Kilku rekrutów, wychodząc na brzeg, spojrzało ku Dominice, gdy stała oparta o poręcz; i w tych wszystkich różnego kształtu i koloru oczach, zdało jej się, że czyta jednę trwogę i pragnienie gorące, żeby w tem nowem życiu, które ich czekało, los im się składał pomyślnie.

Okręt miał odejść za chwilę, i rekruci, ustawieni w szeregi wzdłuż po-

mostu, spoglądali w milczeniu ku Marsylii, która tw erdzą wielkich domów, lasem masztów, długiemi brzydkiemi magazynami i fabrykami, przedstawiała teraz dla nich całą Francyę. Chrypliwy głos syreny wzbił się ostrzegawczo. Naraz dwóch Arabów, w białych brudnych burnusach i turbanach, obwiązanych sznurami z szerci wielbłądziej, pobiegło wzdłuż portu. Syrena znów się ozwała. Arabowie z poważnemi twarzami rzucili się ku przejściu. Liny ciężko opad y ze słupów przybrzeżnych do wody; marynarze wciągnęli je do środka, i *General Bertrand* począł się zwolna poruszać śród nieruchomych okrętów.

Domini, zwracając oczy ku lądowi z tym wzrokiem nieokreślonym, a jednak pytającym, jakim zwyk e patrzą ci, którzy wyruszają daleko na morze, patrzała na górujący nad hałaśliwem miastem kościół Panny Maryi, na przystań ludną i ponure szare skały twierdzy Monte-Cristo. — Teraz, gdy leżała tu w ciszy nocnej, obraz ten wrócił jej przed oczy: przypomniała też sobie, że, patrząc na kościół, szeptała pacierz do Panny Najświętszej, polecając Jej opiece rekrutów. Słów modlitwy nie pamiętała: zapewne prosiła dla nich o moc, o siłę nad pokusami, które tam w obcym niebezpiecznym kraju czychać na nich będą. Była to prośba niewieścia do Dziewicy o łaskawą obronę i opiekę nad wędrowcami.

Ziemia nikła, morze olbrzymiało, wrażliwość jej przygasła, ogarnęło ją uczucie senności. Nie mogła jednak usnąć. Leżała długie godziny w ciasnej kabinie, wpatrując się w blade światło okrągłego okienka. Wspolna niedola zbliżyła rekrutów: rozmowy ich były więcej ożywione; głosy ich mięszały się z szumem fal, hałasem pracujących maszyn i złowrogiem skrzypieniem okrętu, który zawsze ma w sobie jakiś tragizm grożącego niebezpieczeństwa.

Gdy statek przybił do brzegów Afryki, śród mroku nocy, przy bladem świetle, padającem z okien domków nabrzeżnych, widziała pochylone znużeniem postacie rekrutów, podążające pod eskortą żuawów ku barakom w Robertvill.

Dominice, leżącej teraz w łóżku hotelowem, wciąż się zdawało, że czerwone tafle podłogi falują i kołyszą się. Na ziemi stał otwarty wykwintny jej worek podróżny; główki flakonów błysnęły srebrem. Blask ten przywołał— nie wiedziała sama, dla czego—wyraźne wspomnienie Anglii. Teraz tam zimna jesień z wichrami, tłukącemi w okienice, i deszczem, i mgłą. Ogarnęło ją współczucie dla Anglii i uwięzionych w niej na zimę ludzi. A jednak—ile tam sama spędziła smutnych zim, marząc o swobodzie, a czyniąc rzeczy błahe, bezmyślne, bez pożytku dla umysłu, bez wybawienia dla duszy...

Była kobietą silną, czynną; muskuły jej były sprawne, nerwy posłuszne; nienawidziła słabości. Dziś jednak uczuła się zdenerwowaną, jak te jej siostrzane zastępy, dla których zostały wymyślone „kuracye leżące“ i z których żyją pochlebcy-lekarze. Zgasiła świecę, wkrótce jednak, nie mogąc znieść ciemności, znowu ją zapaliła i, wybrawszy śród paru książek, które zawsze miała pod ręką, Newmana „Sny Geroncyusza“, poczęła czytać.

Około drugiej posłyszała dziwny, przeciągły szelest. Narazie myślała, że to złudzenie nerwowe, lecz szelest stawał się głośniejszym, przychodził gdzieś z bardzo daleka i jakby zasłoną rozścielał się po niezmierzonej przestrzeni. Zerwała się, otworzyła okno i żaluzye. Padał deszcz rzęsisty. Noc była ciemna, pełna dziwnych wonności, egzotycznych, czarownych i nęcących, jak kadzidła ofiarne. I stanęła twarzą w twarz przed cudem niewidzialnym, czując blizkość jakiejś wielkiej tajemnicy i jakieś z nią zbratanie.

A w niej przeczuwała bijące tętna i gorącą, podstępującą krew wolności.

Pragnęła swobody, dalekich horyzontów, szerokich wichrow, mocnego słońca, wielkich przestrzeni i zórz płomiennych, i żarow olśniewającego południa, i purpury wieczorów afrykańskich. Chciała ognisk koczowniczych, słuchać donośnego szczekania psów z osad Kabylów, dźwięków ostrych tamtamu, brzęczenia cymbałków i kastanietów murzyńskich, widzieć drgające w powietrzu malowane palce tancerek. Pragnęła więcej, niż mogła określić. Pragnienie to sprawiało jej ból w sercu, gdy wdychała je razem z dziwnem orzeźwiającem powietrzem.

Wróciła na posłanie, lecz już czytać nie mogła. Ten deszcz i ten aromat, płynący z ukrytej ziemi afrykańskiej, poniósł jej myśli w czarodziejski świat. Miło jej teraz było leżeć w ciemności.

Dominika miała lat trzydzieści dwa, była niezamężną, stanowisko miała całkiem niezależne, była jednak zupełnie samotną. Ojciec jej, lord Rens, zmarł niedawno, pozostawiwszy jej, jako jedynemu dziecku, duży majątek. Życie jego było pełne zmian i tragiczne. Matka Dominiki, bardzo piękna, o wybitnym typie cygańskim, była córką węgierki i Henryka Arlworth, gorącego wyznawcy i obrońcy katolicyzmu angielskiego. Z trojga ich dzieci syn został księdzem, autorem wielu prac religijnej treści i znanym kaznodzieją; starsza córka wstąpiła do klasztoru. Najmłodsza, w przyszłości pani Rens, nie odznaczała się wielką mądrością, z lica jednak była podobną do muzy. Głosiła zwykle w rodzinie o wielkiej swojej miłości do kościoła, zanadto wszakże kochała świat, aby go opuścić.

Będąc bardzo młodą, poznała lorda Rens, wówczas dwudziesto-sześcioletniego oficera gwardyi Mianował on siebie protestantem, w rzeczywistości jednak czuł się szczęśliwym nie mając żadnej wiary. Młodzieniec zakochał się w niej na zabój i, aby módz ją poślubić, stał się katolikiem. Gorliwość jego dla wiary, którą wyznawała żona, i dbałość o rozwój katolicyzmu w Anglii, stały się wielkie: wspomagał on instytucye dobroczynne i hojnie obdarowywał kościoły.

Niestety, nowa ta wiara ugruntowaną była jedynie na miłości do ludzkiej istoty. Gdy lady Rens, której natura była zmysłową, gwałtowną i namiętną, rzuciwszy na cztery wiatry wszelkie więzy obowiązku i zasad, uciekła z artystą węgierskim, który wspaniałą grą na skrzypcach czarował w owym sezonie cały Londyn, zdradzony małżonek, z duszą rażoną, śmiertelnie ugodzony w swojej dumie, wyrzekł się zaraz wiary, do której nakłoniła go kobieta-zdrajczyni.

Dominika miała lat dziewiętnaście i świeżo została przedstawioną u dworu, gdy matka jej swoją ucieczką oburzyła całe miasto, a ojca, który dotychczas tak był szczęśliwy, pogrążyła w rozpaczy, cynizmie i niedowiarstwie. Ona, która dotychczas była wychowywaną przez obojga rodziców w wierze katolickiej i od najmłodszych lat uczona pilnie piękności tej wiary, obecnie była narażona na najbardziej zaciekłe namowy ojca, który, nienawidząc wszystkiego, co dawniej kochał, porzuciwszy wszystko, do czego dawniej pod wpływem swej niewiernej małżonki był przywiązany, chciał wciągnąć swą córkę na nową i całkiem nędzną drogę swego życia. Lecz Dominika, która wraz z zasobem ciemnej piękności swej matki odziedziczyła wiele z jej pasyi i żywej mocy, miała zarazem wiele rozumu i wiele pewnej szerokości temperamentu, i jasnego wzroku, którego brakowało pani Rens. Również— chociaż była wciąż pod wrażeniem sromu swej matki i własnej samotności, była niezdolną do podzielenia tak wyłącznie egoistycznych poglądów swego ojca na religię winnej. Nie mocen był jej przekonać, by wiara, w której została wychowana, miała być notoryczną hańbą dlatego, że jedna z wyznawczyń, którą ona nad inne kochała i ufała, odstąpiła od jej zasad i zaprzeczyła wyznaniu. Nie mogła złączyć się ze swym ojcem, lecz została w kościele swej matki, której już nigdy nie miała zobaczyć, i to mimo nadzwyczajne i brutalne wysiłki lorda Rens, by ją skierować na drogę swego ateizmu. Myśl jego tak się zbłąkała przez rozpacz ciemną jego serca, iż przyszedł do przeświadczenia, że, wyrywając swe dziecko z religii, którą wprowadził do życia przez największą grzesznicę, jaką znał, choć w części oczyści życie, napiętnowane przez postępek swej żony, znów nieco wznosząc godność, którą ona w pyle pogrzebała.

Wuj jej, Ojciec Arlworth, radami i pomocą wspierał Domini w tym krytycznym okresie jej życia, i lord Rens w czas zaniechał usiłowań wciągnięcia dziecka do towarzystwa w swej tragicznej podróży od wiary i miłości do zaprzeczeń i nienawiści. Poddał się cały gwałtownej rozpaczy, i ostatnie lata jego życia były dostatecznie ohydne, jak to świat wiedział i Domini nieraz podejrzewała. Lecz chociaż Domini oparła się, nie została jednak całkiem niewzruszoną i bierną na utratę niesławną swej matki i skutki, jakie to wywarło na ojca. Pozostała katoliczką, lecz zwolna traciła na pobożności. Chociaż zdało jej się, że stoi mocno, w rzeczy samej chwiała się, jeżeli nie w wierze, to w rzeczy znacznie cen-

niejszej—w miłości. Pełniła obrządki, lecz mało czuła wewnętrznej treści i piękna swej wiary. Wysiłek, jaki uczyniła w oparciu się podmuchom swego ojca, wyczerpał ją.

Ojciec Arlworth, który znał dokładnie naturę ludzką, widział, iż Domini zmieniła się i nieco stwardniała wskutek tragedyi, jaką poznała, i nie był tem zgoła zdziwiony ani tknięty. Nie starał się też gwałtem skierować jej charakteru na dawne drogi piękna. Wiedział, że było to rzeczą niebezpieczną, że Domini natura wymaga nadewszystko spokoju, by mogła się otrząsnąć od ciosu, jaki spadł na jej barki.

Gdy miała dwadzieścia jeden lat, zmarł on, i Domini naraz pozostała bez jedynego pewnego przewodnika, który ją najlepiej rozumiał. Lata płynęły. Żyła ze swym zgorzkniałym ojcem i wciągała się bezmyślnie w światowość pustą kobiet swego otoczenia. Domowe jej życie dalekie było od ideału. O małżeństwie też nie chciała myśleć. Rozbicie domowego ogniska jej rodziców uczyniło ją nieufną względem ludzkich związków. Widziała miłość w osnuciu grozy, nie, jak inne kobiety, w osnuciu ufania i słodyczy. Odkładała ją tedy na bok i wypełniała życie tysiącem tych błahych rzeczy, których się chwyta ród męzki i kobiecy, jak Chińczycy chwytają się opium, — rzeczy, które ukołysują nasz zmysł rzeczywistości— na sen.

Kiedy umarł lord Rens, wciąż złorzeczący, bez wszelkiej pociechy religijnej, Domini uczuła nieprzepartą potrzebę zmiany. W gruncie rzeczy nie zmartwiła się śmiercią ojca. W ostatnich latach byli bardzo zdala od siebie, śmierć jego uwolniała ją od ciągłego patrzenia na tragedyę. Lord Rens w nienawiści swej ku religii swej żony, patrzał również z nienawiścią ku córce, która jej religię wyznawała. Domini miała dla niego raczej litość, niż miłość. Pomimo to śmierć jego wstrząsnęła nią. Gdy nie mógł już mówić, lecz tylko leżał bez ruchu, wtedy naraz wspomniała, czem był przed ucieczką jej matki. Cały okres późniejszy, chociaż długi i brzydki, został wraz wykreślony. Płakała biednego życia złamanego i trwożyła się jego dolą teraz w innym świecie. Odejście jego w niewiadome wzbudziło w niej raptowne jasne poczucie tego, jak czyny jego i matki wpłynęły na jej charakter. Stojąc u jego łoża, rozumiała, czem mogła być, gdyby matka jej została wierną, a on szczęśliwym do końca. I wtedy uczuła grozę siebie, w części uświadamiając sobie, i to po raz pierwszy, jak dalece przez całe te lata była bierną istotą. Uczuła, iż pozostając dotychczas bez samowiedzy, bez istotnego poznania i myśli o życiu, była raczej kółkiem maszynowem, niż kobietą—człowiekiem.

Zstąpił na nią rozpaczny męt ducha, rodzaj gorzkiego, ciemnego zwikłania. Poczęła postrzegać, czem była, do czego była zdolna, do jak wielkiego dobrego czy złego, i czuć pewnie, iż nie wie tego, nigdy nie wiedziała, ani nie probowała nigdy odnaleźć.

Razu jednego, w takim stanie ducha, poszła do spowiedzi. Wróciła czując, iż wprost zabawiła się w jakąś farsę z księdzem. Jak może kobieta, która nic nie wie o sobie, uczynić spowiedź, która by nie była pustką wierutną? myślała. Powiedzieć, co się zrobiło, nie zawsze znaczy — powiedzieć, czem się jest. A tylko to, czem czem jesteśmy, waży na szali wieczystej.

Obecnie, wciąż jeszcze w zwikłaniu ducha, opuściła Anglię z panną służącą jedynie, jako towarzyszką. Po krótkiej wycieczce na południu Europy, które znała na wylot, wsiadła na okręt, płynący do Afryki, której nie znała jeszcze zupełnie. Celem wyprawy miało być Beni-Mora. Wybrała tę miejscowość, bowiem podobało się jej brzmienie, bowiem widziała na mapie, że stanowi oazę śród pustyni Sahary, bowiem wiedziała, że była małą, spokojną i w lico z niezmierzonością, o ktorej tak często marzyła. Niewyraźnie przeczuwała, iż, być może, w słonecznej pustce Beni-Mora, zdala od przyjaciół i wspomnień dawnego życia, zdoła nauczyć się rozumieć siebie. Jaką drogą? Tego nie wiedziała, nie dociekała, by wiedzieć. Była to luźna pielgrzymka, jak wiele pielgrzymek w tem życiu — wyprawa poszukiwacza, który nie wie, do czego dąży.

I oto teraz leży w ciemności i słyszy szmer ciepłego afrykańskiego deszczu, i wdycha wonie, wstające od ziemi, i czuje, że niewiadome bardzo blizko od niej, niewiadome—z całą błogosławioną możnością odmiany.

II.

Znacznie jeszcze przed świtem sługa hotelowy, ów Włoch, zwinął swoje nędzne posłanie, nałożył czapkę i zastukał do drzwi Dominiki i panny Joannny.

Było jeszcze ciemno i deszcz padał ciągle, gdy obie podróżne wsiadły do powozu, który miał je zawieść na stacyę. Plac Marynarski był, jak jedno błotne jezioro.

Z mokrych palm kapały krople na blisko stojący opuszczony kiosk, malowany na zielono i niebiesko. Niebo było szare i niskie. Zasłony z żaglowego płótna osłaniały omnibus, i woźnica, wyglądający na Maltańczyka, w czerwonej czapce, okolonej żółtawem futerkiem, okutany był aż po same uszy. Blada twarz Zuzanny nabrzmiała od znużenia, ciemne jej oczy, zwykle wesołe i pełne obietnic, były mętne i zlekka zezowały, gdy, uderzywszy po ramieniu posługacza, podawała mu ręczne pakunki swojej pani do powozu. Zaspany włoch, stojąc na wytatym stopniu schodów, poziewał od ucha do ucha. Nawet to lekkie potrącenie panny Zuzanny nie uczyniło na nim wrażenia. Zanim jeszcze powóz ruszył, wrócił do hotelu i zamknął drzwi.

Konie biegły szybko po błocie, droga była spadzista. Jedna z firanek płóciennych, nieumocowana, chwiała się na wszystkie strony. Gdy powiew zwracał ją nazewnątrz Dominika mogła widzieć lśniące połyski błota, migające liście i pnie palm, słupy latarń gazowych i jakąś daleką szarzejącą nicość. To było morze.

Zuzanna siedziała naprzeciw Dominiki z zamkniętemi oczyma. Gdyby nie to, że od czasu do czasu szybko zwilżała pełne blade wargi językiem, można byłoby myśleć, że jest martwą rzeczą. Jej kokieteryjnie na bok włożony kapelusik wyglądał dziwnie śmiesznie: nieodpowiedni ani do okoliczności, ani do usposobienia, robił wrażenie przebrania maskaradowego. Ręce w czarnych rękawiczkach leżały złożone na piersi, pulchne jej ciało wtórowało wszystkim ruchom powozu, chwiało się z nim i skakało. Nie czyniła też zgoła usiłowań, żeby utrzymać równowagę. Zasłona płócienna chwiała się monotonnie. Woźnica krzyknął na konie jakimś przeciągłym wołaniem ptaka, a potem gwałtownie trzasnął z bicza. Dominika miała wciąż oczy utkwione w otwartą przestrzeń, łowiąc dal i nie chcąc nic utracić z tych mglistych wizyi, które jej odsłaniała chwiejąca się firanka. Nie spała wcale tej nocy, w oczach czuła jakby suchy piasek. Była jednak lekką i rzeźwą, chociaż podnieconą. Gdyby zaszedł jakiś nadzwyczajny wypadek, gdyby powóz naprzykład stoczył się z drogi w morze, czuła, że nie mogłaby się ani zadziwić, ani przerazić. Gdyby kto zapytał ją, czy jest zmęczoną, odpowiedziałaby napewno: „nie".

Podobnie, jak jej matka, Domini stanowiła typ cygański. Była pięć stóp dziewięć cali wysoka, miała bujne, falujące czarne włosy, które dzieliły się pośrodku małej głowy; czarne, w kształcie migdałów z ciężkiemi powiekami oczy i jasną ciepło-białą płeć, nie tkniętą kolorem. Nigdy nie czerwieniła się, ani pod wpływem gniewu, ani wzruszenia. Czoło jej było nizkie i szerokie. Brwi długie i równe, gęstsze, niż zwykle kobiece. Kształt twarzy owalny, z nosem równym i krótkim, z krótką, lecz raczej wydatną, okrągłą brodą, i z bardzo wymownemi ustami, nie zbyt małemi, nieco u kątów spłaszczonemi, z zębami doskonałemi i z czerwonemi wargami, niezwykle ruchomemi.

Postać jej była wybitnie atletyczna, z ramionami zbyt szerokiemi, jak na kobietę, i ze zwyczajnie cienkim stanem. Ręce i nogi miała również małe. Chodziła wspaniale, jak kobiety syryjskie, atoli bez ich pysznej wyniosłości. W twarzy jej, gdy była w spokoju, spoczywał zwykle wyraz stałej bierności,—jak inni mniemali—przekory. Wyglądała na swe lata i nigdy nie używała pudru. Łatwo się śmiała i łatwo ożywiała, a w ożywieniu jej był często ogień, jak w jej spokoju była nieraz chmura. Ludzie lękliwi tropili się zazwyczaj na jej zjawienie, i obejście jej nie zawsze ich ośmielało. Rzucająca się w oczy jej siła fizyczna budziła podziw i zastanowienie, jak i na co była, lub mogła być, używaną... Przytem, gdy oczy miała zamknięte, zdała się być szczególnie pełną czuwania.

DCN.

Druk Tow. S. Orgelbranda Synów w Warszawie Redaktor: JÓZEF JANKOWSKI.
Redaktor, odpowiedzialny na Galicyę: Antoni Chołoniewski, Kraków, ulica Zyblikiewicza, № 8.